

Od Najbliższej Rodziny (Close Family Recollects)¹

WSPOMINA SYN KRZYSZTOF

Najmilej wspominam Tatę z dzieciństwa. Wielce byłem dumny z Jego naukowej wyprawy do Wietnamu w 1957 roku. To był bardzo egzotyczny, niezwykle odległy kraj, a w tych latach niewiele jeździło się po świecie. Kiedy wracał, Mama wzięła mnie ze sobą do Szczecina, żebyśmy mogli go powitać. W naszym mieszkaniu na Filtrowej rządziła Babcia Włada, czyli matka mojej Mamy, Elżbiety. Babcia w rzeczywistości mieszkała na Żoliborzu, ale przyjeżdżała rano i wieczorem wracała na Żoliborz, więc miałem wrażenie, że jest zawsze z nami, w tym bardzo zatłoczonym w dawnych latach mieszkaniu. Ciężary domowych prac spadały na moją Mamę i na Babcie, to odciążało Tatę. Z pewnością właśnie Babcia ugadała chłopca, żeby przywoził mięso. Teraz powiedziałoby się: szara strefa. Szaro-buro był też odziany ów wysoki, małowówny chłop. Mówiło się o nim: „Pochwalony”, bo tym słowem witał się, wchodząc do domu. Babcia podczas okupacji musiała ciężko pracować, bo nie miała źródła utrzymania. Była wdową po przedwojennym ważnym urzędniku bankowym i zarazem oficerze rezerwy. To, że jest wdową, zawdzięczamy Stalinowi i ochoczym wykonawcom jego pomysłów. To była okropna prawda, o której nie tak szybko się dowiedziałem.

Z początku mieszkała z nami także druga babcia – zawsze pogodna babcia Wacia, mama Taty, z córką Izą, starszą ode mnie o kilka lat. Ta babcia była zawsze gotowa wygłosić jakąś żartobliwą sentencję, nawet wplatając łacinę w język polski, żeby było śmiesznie i mądrze. Babcia Włada była, można rzec, bliższa ziemi; też miała swoje powiedzonka, ale o zabarwieniu twardszym, jakby plebejskim. Nie dziwię się, że między dwiema Babciami, tak różnymi, „iskrzyło”; jednak były to spory przyjacielskie.

Jako dzieci dowiedzieliśmy się od Taty, że był w naszej rodzinie ważny uczonek – Wawrzyniec Teisseyre, dziadek Taty, a więc ojciec naszego dziadka Kazimierza. Dowiedzieliśmy się też, że w innych miastach żyją czterej bracia Kazimierza. Trzech było naukowcami – Jerzy, Henryk i Andrzej, zaś Stanisław był malarzem.

Mama także studiowała fizykę. Wiem, że pomagała Tacie w pracowni krystalograficznej – może to ich zbliżyło? Oprócz fizyki połączyła ich pasja do Tatr. Wspinali się razem na Mnicha. Po ślubie też jeździli w Tatry. Mój brat twierdzi, że Tata odwiódł Mamę od wspinaczki, ja też tak przypuszczam.

Pamiętam długie wakacje w Kościelisku z Mamą, babcią Władą i czasami z Tatą, który dojeżdżał do nas, gdy mógł. Tam Mama była największą przyjaciółką górali. Prowadziła niespieszne rozmowy z naszą drogą Gaździną. Jeździliśmy więc do Kościeliska co roku, przez całe lata. Podczas tych wakacji, pierwszych lub drugich, urodził się mój brat Mikołaj, dokładnie w moje imieniny. Tak więc otrzymałem brata – zakopianina (jest z tego bardzo dumny). Tata

¹ English version in the Annex



Rodzice za młodu, w Tatrach.

był świetnym kompanem i w letnich, i zimowych wypadach, kiedy do nart zakładało się buciory, sznurowane. Kiedy byliśmy z bratem mali, Tata i stryj Jacek, o którym jeszcze będzie mowa, uczyli nas na nich jeździć. Mój brat Mikołaj (Misiek) czynił szybkie postępy; ja byłem oporny, gdy chodzi o styl. Misiek wyrósł na najlepszego narciarza w rodzinie. Tata na narty jeździł jeszcze długo – do osiemdziesiątki, a może i dłużej.

W Warszawie Ojciec nie miał dla nas tyle czasu, ile byśmy chcieli. Jednak istniał Jego wieczorny czas przeznaczony dla synów – wówczas Tata snuł długie opowieści o przygodach zwierzątek, np. fenków i niedźwiedzi, odcinkowe właściwie. Te krótkie opowiadania na dobranoc były barwne i wesołe. Z czasem współtworzyliśmy z Tatą te opowieści.

Mrówczej pracy Taty nie zauważałem – ot, kreślił sobie coś na kartkach, nawet w filharmonii. Albo – jak mi przypomniał przyjaciel z dzieciństwa – podczas hucznej zabawy Roman nagle wychodził do drugiego pokoju, by rozwikłać jakieś zagadnienie lub coś obliczyć. Tak samo bywało na rodzinnych spotkaniach. Tata nie grał wielkiego uczonego, podobnie jak jego starszy brat Mietek, który pracował na Politechnice Wrocławskiej. Nikt z rodziny i znajomych nie odgrywał też roli bohatera wojennego. O ich przeżyciach w Powstaniu Warszawskim i ogólnie o przeszłości nie mówiło się dużo. Takie były czasy.

Pamiętam, zawsze podziwiałem Tatę i Jego kumpli. Byłem pewny, że w pracy tych naukowców przyjaźń była największą wartością; spokojnie godzili ją z osobistymi ambicjami. Kiedyś, po latach, podczas wyjazdów w teren z Tatą, Tomkiem Ernstem, Markiem Górskim i Jurkiem Suchcickim przekonałem się, że moja młodzieńcza opinia była słuszna. Skład był zresztą różny. Co najmniej raz wziął udział w takiej delegacji Janusz Marianiuk z Obserwatorium w Belsku, który również pasował do grupy, a także dyrektor administracyjny Marian Hościłowicz, w roli zwykłego pracownika i tak samo było po koleżeńsku.

Tata był osobą towarzyską i lubianą. Do największych Jego przyjaciół należała Zośka Droste, sejsmolog. To była także najbliższa przyjaciółka Mamy. Kiedy Ją wspominamy, od razu przed oczami stają: Józwa (Józef Hordejuk), Wojtek Stopiński, państwo Gadamscy, Jankowscy, Gibowiczowie i inni. Z kolei Andrzej Zawada, wspaniały wspinacz i organizator, później sławny himalaista, należał do przyjaciół Taty jeszcze z wczesnej młodości. Był oczywiście również przyjacielem Mamy, no i nas – synów. Podobnie Tadeusz Siemek. Jego żona Danka była spokojniejsza i nie tak ironiczna jak reszta. Podobnie było z inną parą: to Olgierd Idźkowski zwany powszechnie Szakalem z powodu braku tuszy (nadrabiał ten brak humorem) i jego żona Hanka. Żona Andrzeja Zawady – aktorka Anna Milewska – oczywiście



To zdjęcie zrobiono w mieszkaniu Anny Milewskiej i Andrzeja Zawady, po ich ślubie. W górnym rzędzie Andrzej Zawada (trzyma rękę na głowie żony) i Jerzy Pruchnicki, w następnym od lewej moja babcia Wacława Teisseyre, następnie matka i siostra Andrzeja Zawady, dalej jego żona Anna Milewska i moja babcia Władysława Kowalska. W kolejnym rzędzie Tadeusz Siemek, dalej Danuta Siemkowa i ich dzieci: Maja i Tomek, następnie Krystyna Kozłowska i Mama. Leżą: Zdzisław Kozłowski (mąż Krystyny) i mój Tata.

dołączyła do przyjacielskiego grona. I byli jeszcze inni koledzy z dawnych lat, jak również znajomi i znajome ze strony Mamy. Bardzo nam się podobały te, chwilami głośne, przyjacielskie spotkania starszych – choć zasadniczo nie braliśmy w nich udziału. Zaś babcia Włada kwitowała je z przekąsem mówiąc: „Młodzież” się bawi.

Wśród rodziny i znajomych nie widziałem kultu stanowiska, tytułu, nie można było się wywyższać ani innych ludzi lekceważyć. Nie było także w dobrym tonie zapisywać się gdzieś dla wygody i o samym dobrym tonie też się nie mówiło.

Gdy już nie byłem dzieckiem, lecz młodzieńcem na studiach, raz tylko zapytałem Tatę, jaką mi radzi wybrać drogę życiową, z jakimi ludźmi być blisko. Ojciec z namysłem i jakby ostrożnie powiedział, że Jego zdaniem wspólnotę naukowców wiąże jeden cel, a jest nim odkrywanie prawdy; i dlatego są przyjaciółmi.

Czy Tata miał oprócz nart inne hobby? Owszem, majsterkowanie – sam wykonał półki, pawlacze, skomplikowane schody w domku na działce. Jednak Jego majstersztykiem było

skrócenie wielkiej brzoszowej szafy. Nastąpiło wtedy spotkanie towarzyskie pod hasłem „Otwarcie szafy”. Zbierał też znaczki. Książki, dobre, czytało się. Dopiero wiele, wiele lat później zacząłem rozumieć, że Tata pasjonował się różnymi dziedzinami fizyki i to było Jego największe, stałe hobby. Szedł wśród tych zagadnień, wszędzie starając się dojrzeć coś nowego, spojrzeć z innej strony. I pracować nad tą sprawą! Stąd taki Jego szacunek dla wielu badaczy. Z reguły każdy, z kim Tata pracował, stawał się jego dobrym kolegą lub przyjacielem.

Odwiedzaliśmy z rodzicami obserwatorium. Przede wszystkim to największe w Belsku, pięknie rozlokowane na dużym terenie, na skraju tajemniczego lasu. Tam pracował nasz ulubiony stryj Jacek Kowalski – krewny Mamy oraz inni przyjaciele naszej rodziny. Jacek zresztą świetnie kucharzył. Poznaliśmy również obserwatorium w Niedzicy oraz w Książu, przy wspaniałym zamku. Spodobały mi się tam ogromne, groźne podziemia, w których później umieszczono sejsmometry. Ważne było też Obserwatorium na Helu, tak blisko morza.

Ojciec, w różnych działach geofizyki, należał do pionierów. Był jednym z inicjatorów rejestrowania wstrząsów zachodzących w lodowcu. Wziął udział w pierwszych takich badaniach bezpośrednio na powierzchni lodowca. Był również wśród pionierów badania



Od lewego górnego rogu, zgodnie z ruchem wskazówek zegara: 1) Maciej Zalewski, polarnik i, zapewne, jego żona Marina; 2) Mieczysław Teisseyre – brat Taty; 3) Tata, Tadeusz Kowalski czyli Stryj Jacek oraz profesor Eijo Vesanen z Instytutu Sejsmologii Uniwersytetu w Helsinkach; 4) Outi – córka państwa Vesanen, jej matka Raija Irma Vesanen i ojciec Eijo, Konstanty Pielak, Tata.

wpływu ustrukturyzowanego ośrodka na przechodzące fale sejsmiczne – chodzi tu o ośrodek zawierający liczne drobne struktury (mniejsze od długości badanych fal). Zagadnienie to może prowadzić naukowca do trudnej tematyki skrętnych czyli rotacyjnych drgań i efektów w ośrodku ciągłym (lub na przykład w budowli!). Tej tematyce, w jej różnych aspektach, poświęcił ojciec wiele lat. Był tu badaczem, edytorem i autorem prac oraz inicjatorem wielu pomiarów i dociekań teoretycznych.

Tata często był zapraszany na wyjazdy naukowe, również Mama zaczęła z Nim jeździć. Najwspanialszy był nasz wyjazd całą czwórką do Japonii. Wtedy Tata poleciał tam w połowie 1965 roku, a my dołączyliśmy tuż przed Bożym Narodzeniem. Byliśmy tam razem do połowy czerwca 1966 roku, i nawet trochę zwiedziliśmy ten piękny kraj.

Instytut miał kiedyś swój jacht, a właściwie oceaniczną łódź badawczą o nazwie Sonda. Jej kapitan, Konstanty Pielak, również był przyjacielem moich Rodziców; Mama została matką chrzestną tej jednostki. „Sonda” służyła do geofizycznych pomiarów w morzach. Kiedy część badaczy, i część tematyki badawczej Instytutu Geofizyki przeszła do nowopowstającego Instytutu Oceanologii (co mój Tata popierał!), również ta łódź wraz z kapitanem zmieniła „barwy klubowe”. Załączam wybór czterech fotek, z lat 70’ lub 80’, prawdopodobnie z wizyty „Sondy” w Helsinkach.

Rodzice stali się stopniowo podróżnikami. Interesowało Ich wszystko: architektura, muzea, lokalna kuchnia i występy folklorystyczne. Nie jeździli natomiast na zbiorowe wycieczki.

Po śmierci mojej Mamy, Tata znalazł nowy dom u boku Bogny, czyli Marii Jeleńskiej, która także pracuje w Instytucie. Po ślubie Bogna zaczęła jeździć z Tatą na Ich sympozja. Jeździli też do Buska, do sanatorium. Ich marzenia o dalekim wyjeździe, do Japonii – byłaby to dla Taty kolejna tam wizyta – rozbiły się o Jego ciężką chorobę. Wtedy Bogna stała się również opiekunką Taty w Jego długich zmaganiach.

Nawet długie i szczęśliwe życie kiedyś się kończy. Jak się powszechnie mówi: cudów nie ma, ale miłość, przyjaźń, życzliwość to właściwie są cuda. Mój Tata był na te cuda otwarty, i otrzymywał je.

Krzysztof Teisseyre

WSPOMINA SYN MIKOŁAJ

Wspominając naszych rodziców wracamy myślą do dzieciństwa, do świata dobrego, uporządkowanego, w którym oczywiste było dobro i zło. I chociaż wówczas żyliśmy skromnie, początkowo z sublokatorom w mieszkaniu, to fajne były to czasy, z poczuciem pełnego oparcia w ukochanych rodzicach.

Wspomnienia dzielę na dwie pory roku: Tata z nami (ze mną i bratem Krzyśkiem) w zimie i w lecie. Może bardziej zapamiętałem „Tatę zimowego”. A zimy wówczas, w latach 1950–1960, były prawdziwe, nikt się nie pytał, czy na Boże Narodzenie będzie biało, bo to było oczywiste, że będzie śnieg i tak było. Zima, a więc sanki. Tata zaprzęgał się do sanek i wioził nas, czasem podbiegając niczym koń pociągowy, przez park do ogródka jordanowskiego z usypaną górką do zjeżdżania. „Z drogi śledzie, bo Pan jedzie!” pokrzykiwali butni saneczkarze. Potem, gdy byłem starszy, to wspominam pierwsze łyżwy przykręcane do podeszwy zwykłych butów. Dzisiaj są to już okazy muzealne, podobnie jak drewniane narty z kandaharami. Potem miałem już prawdziwe łyżwy, wymarzone hokejki. A chodziło się na łyżwy często, bo lodowiska wylewano na pobliskim stadionie Skry, mróz długo trzymał, a odwilże stanowiły krótkie pauzy w śnieżnym świecie.

Potem narty, moja największa do dzisiaj pasja. Górą żyli oboje rodzice. Mama wspinała się w Tatrach, natomiast do nart nie miała smykałki. Tata na odwrót: od wspinaczki odwiódł



Tata z jednym z synów w Tatrach Zachodnich

Mamę, natomiast lubił narty. Byliśmy z Tatą, bratem i Izabelą – siostrą Ojca – na tygodniowym kursie narciarskim w schronisku Ornak w dolinie Kościeliskiej. Ćwiczyliśmy na półku na hali Smytniej, a także chodziliśmy na wycieczki (dzisiaj powiedzielibyśmy skitury) na przełęcz Iwaniacką i kolebkę narciarstwa, halę Pyszną. O nas mówili: „docent z pacholętami” (był nim już wówczas Ojciec), co oburzało Izabelę, wówczas już dorosłą panią. Potem były wyjazdy do doliny Chochołowskiej, do schroniska Blaszyńskich – dzisiaj leśniczówka. I znowu deptanie pólek i wycieczki na Rakoń i do doliny Starorobociańskiej. W następnych latach to już zakwaterowanie w Zakopanem (raz udało się zdobyć miejsca w schronisku na Kondratowej) i powolne osvajanie Kasprowego. I tak płynęły lata, a nasza (moja i Ojca) miłość do nart nie przemijała. To Tata zaraził nas Dolomitami, chociaż nie wiem, czy w ostatnim czasie bardziej cenił sobie szusowanie czy klimatyczne górskie knajpki, które odwiedzał w przerwie na kawkę i bombardino. Potem to my, z żoną Joasią, zabieraliśmy Tatę na narty, które uprawiał przez długie lata.

A lato? – też oczywiście góry, najczęściej Tatry z pobytami u zaprzyjaźnionej gaździny w Kościelisku na Groniu. Wycieczki górskie, stopniowo coraz ambitniejsze. Gdy miałem 9 lat padły pierwsze dwutysięczniki – Czerwone Wierchy. Dzisiaj nie zliczę, ile to już razy na nich byłem i wcale mi się nie znudziły. A potem, gdy miałem 11 lat to zaliczenie pierwszych tatrzańskich łańcuchów – zdobycie Zawratu. Pamiętam, była wtedy mgła, która pomogła mi opanować lęk wysokości. Zejście z powrotem na Halę Gąsienicową to było dla mnie za dużo, a więc łagodnym szlakiem poszliśmy do Pięciu Stawów i dalej przez Świstówkę do Morskiego Oka, do którego wówczas dojeżdżały autobusy. W następnych latach były jeszcze Rysy. Po skończeniu moich studiów spędziłem tydzień, z Mamą i Tatą, w Tatrach Słowackich.

Do wspólnych wyjazdów z Ojcem w góry, w Alpy austriackie, wróciliśmy dopiero w obecnym tysiącleciu, po odejściu naszej ukochanej Mamy. Byliśmy w okolicach Dachsteinu nad pięknym jeziorem Gosau, a podczas następnego wyjazdu w dolinie Oetzal. Wracając do mojego dzieciństwa to wspomnę, że oboje Rodzice preferowali aktywny wypoczynek. Oprócz gór, były też akcenty wodne, raczej spływy kajakowe niż leniuchowanie na plaży. Na

wakacjach gościliśmy też w, rozsianych po Polsce, obserwatoriach geofizycznych, często mieszczących się w atrakcyjnych miejscach – jak zamki w Niedzicy i w Książu, a także nad morzem na Helu. Często odwiedzaliśmy też Belsk z Centralnym Obserwatorium Geofizycznym, położonym w sąsiedztwie rezerwatu Modrzewina.

Tata dużo wyjeżdżał za granicę. Były to zarówno wyprawy badawcze: Wietnam, Spitzbergen, jak i dłuższe pobyty z wykładami (Tokio, Trieste). Bardzo lubiliśmy z bratem słuchać Taty opowieści o Wietnamie, wzbogacanych o dowcipne anegdoty i kawały, jakie robili sobie wzajemnie uczestnicy wypraw. Przebojem stały się opowieści jak to jeden z uczestników wyprawy próbował w tym komunistycznym kraju wybudować kościół, a inny doktor wyprawy szpital swojego imienia.

Fizyka była największą pasją Taty, ale miał też inne zainteresowania. Lubił z Mamą spędzać wolny czas na działce w Zambskach nad Narwią, w skromnej, ale uroczej chatce kurpiowskiej. Kochał zwierzęta – owczarki niemieckie Agisa i Aresa oraz czarną kotkę Pipi. Rodzice prowadzili towarzyskie życie, ale to Mama była inicjatorką spotkań ze znajomymi, w większości pracującymi z Tatą. Nie zapomniemy wspaniałych imienin Rodziców i innych spotkań, na które zapraszali pod zabawnymi hasłami. Tata był pasjonatem swojej pracy, my z bratem nie poszliśmy w Jego ślady, ale jako lekarz mam uznanie dla fizyki i matematyki – królowych nauk ścisłych. Zainteresowania i może też zdolności przeskakują przez pokolenia. Mój starszy syn Paweł został naukowcem matematykiem, a młodszy Piotr, po studiach na socjologii, zajmuje się analizą danych. Tata, podobnie jak i ja, może być z Nich dumny.

Mikołaj Teisseyre

WSPOMINA ŻONA BOGNA

MÓJ MAŻ, PROF. ROMAN TEISSEYRE

Roman Teisseyre – światowej sławy naukowiec, powszechnie szanowany.

A jakim był mężem i człowiekiem?

Był człowiekiem przez duże C i takim był Mężem. Przede wszystkim był pogodny i pełen optymizmu. Rano, gdy się budził, natychmiast zaczynał śpiewać. A ponieważ nie miał ani słuchu, ani głosu, to Jego poranne występy mogłyby być uciążliwe, gdyby nie to, że były szalenie zabawne. Układał tekst do wyśpiewywanych melodii, zawsze inny, zawsze zabawny, chociaż często zupełnie bez sensu, pełen absurdu w stylu Monty Python'a.

Żył bardzo intensywnie. Mimo, że praca naukowa ogromnie Go absorbowwała, zawsze miał czas i ochotę na spotkanie towarzyskie, kino, koncert czy wystawę. Bardzo lubił chodzić do restauracji. Ale też wykorzystywał każdą wolną chwilę na pracę w domu. Potrafił usiąść do komputera na 15 minut pomiędzy innymi zajęciami. Z tych 15-minutówek składały się godziny.

Musiał mieć koszule z kieszonką i w tej kieszonce lądowały skrawki papieru, na których zapisywał swoje pomysły, które przychodziły Mu do głowy na koncercie, na spacerze czy na proszonym obiedzie.

W codziennym „repertuarze” Romka były cztery stałe punkty: poobiednia 15–20 minutowa drzemka, potem gimnastyka – kilka minut, prysznic, a następnie spacer. Poobiednia drzemka była obowiązkowa. Moi przyjaciele już wiedzieli, że Romkowi trzeba zapewnić miejsce do spania po obiedzie. Gimnastyka, prysznic i spacer były czasami pomijane, bo trudno brać prysznic w cudzym domu, kiedy jest się na proszonym obiedzie.

Romek bardzo lubił chodzić na zakupy. Czarował wszystkie panie ekspedientki. Rozpromieniały się na Jego widok, a On pytał: „Co Pani ma dziś dobrego dla mnie?” Zawsze dostawał coś słodkiego – cukierek, czekoladkę czy ciasteczko. Na zakończenie zakupów oświadczał: „Ja nie płacę” i ten obowiązek spadał na mnie. A że czasami Jego kartą, nie miało to już znaczenia.

Miał swoiste poczucie humoru. Bardzo lubił żartować, również na swój temat.

Był miłośnikiem Podkowy Leśnej, gdzie mieszkaliśmy przez ostatnie siedem lat. Podkowa Leśna oczarowała go od pierwszego wejrzenia, kiedy to, w ogrodzie przy kościele św. Krzysztofa, zobaczył pawie. To oczarowanie tylko się pogłębiło, kiedy poszliśmy do świetnej, lokalnej restauracji oraz gdy zaczął chodzić na długie spacerunki.

Romek kochał życie i potrafił się nim cieszyć każdego dnia. Zachwycał Go kolor nieba, kształt obłoków, tysiące drobiazgów, z których czerpał radość. Nigdy nie narzekał. Zawsze powtarzał: „Wszystko będzie dobrze”, a jeśli nie było dobrze, kwitował to stwierdzeniem: „Takie jest życie”.

Maria Teisseyre-Jeleńska

WSPOMINA SIOSTRA IZABELA

Mam wspinała rodzinę, męża, dzieci, wnuki, ale teraz wspominam tę z dzieciństwa.

Mama – romantyczna marzycielka z pogardą dla dóbr doczesnych, anioł dobroci. Pamiętam Jej opowieść: Stojąc na mostku nad potokiem bawiła się drogocennym pierścieniem obracając go na palcu; gdy wpadł do wody, pierwszą Jej reakcją był wybuch niepohamowanego śmiechu. Usiłowała wpoić we mnie zamiłowanie do literatury, sama dużo czytała, a w przerwach szukałyśmy okularów lub zegarka (raz był w lodówce).

Tata też był romantykiem, bardzo lubiałam z nim rozmawiać – snuł marzenia o świecie bez granic i wojen; pierwszym etapem miała być zjednoczona Europa. Mówił też, że handel nie jest zajęciem do końca uczciwym. Myślę o tym sprzedając rzeczy na OLX.

No i mój brat Romek – ideał. Zresztą nie była to tylko moja opinia. Kiedyś, kiedy byłam już mężatką, bawiłyśmy się w gronie znajomych w wyliczanie wad naszych mężów; każda z nas miała dużo do powiedzenia. Gdy przyszła kolej na Elkę – żonę Romka, chwilę pomyślała i oświadczyła zdecydowanie: nie ma żadnych.

I rzeczywiście, Romek odziedziczył po naszych rodzicach, najlepsze cechy: bezinteresowność, życzliwość, chęć pomocy i bardzo charakterystyczne, niesłabnące z wiekiem, ogromne poczucie humoru, w myśl sentencji Monteskiusza: „Powaga jest pancerzem głupców”. Nie pamiętam, żeby o kimś źle się wyrażał, czy też komuś czegoś odmówił. Był dzielny i odważny, gdy zachodziła taka konieczność, i nigdy nie narzekał. Jednocześnie był bardzo wrażliwy, bał się urzędów, oficjalnych wystąpień i konfliktów. Jak wychodził z mieszkania naszej mamy, to sprawdzał parę razy czy gaz jest wyłączony. Taki bliski, kochany człowiek. Opowiadał mi o fizyce, to było fascynujące: szybko porzuciłam pisanie kolejnej niedokończonej powieści (z inspiracji mamy) i za jego sprawą zostałam fizykiem.

Miałam też drugiego brata, Mietka, trzy lata starszego od Romka. Mieszkał we Wrocławiu i znacznie mniej go znałam. Pamiętam, że zawsze był „duszą towarzystwa”. Bardzo lubiałam jeździć z Mamą do Niego, bo bawiłam się wtedy z bratankiem Ryśkiem (trzy lata młodszym). W nocy wykradaliśmy się do ogródka konstruując niespodzianki dla rodziców, którzy nie zawsze byli zachwyceni.

W sumie, cała rodzina była wspinała. Cechowało Ją lekceważące podejście do wartości materialnych, nigdy nie było mowy o problemach finansowych ani niesnasek z tego powodu, ogromne poczucie humoru i optymizm w każdej sytuacji, silne więzi rodzinne – rodzina była święta. Bogaci nie byliśmy, to były biedne czasy. Pamiętam dzieciństwo – mieszkanie na Filtrowej – trzy pokoje: ja z mamą, brat z żoną i dwójką dzieci + teściowa na przychodnię + całkiem obca rodzina, czyli inni lokatorzy: małżeństwo z synem (bawiłam się z nim). Kuchnia była wspólna, podobnie łazienka; ciepła woda dwa razy w tygodniu. Było znośnie, a nawet wesoło. Często bywali koledzy Romków, bardzo ich lubiałam. Lubiałam też ostatnie dni miesiąca, gdy jadłyśmy z mamą jedynie chleb maczany w oleju z solą – pycha!

Pamiętam moje zwariowane wesele na Filtrowej (dużo później, nie było już lokatorów): rzucanie kulkami tataru, oblewanie wodą, przebieranki i tańce. Pełno było takich imprez rodzinnych – zwariowanych i beztroskich.

A Romek niemal do ostatnich dni pracował, miał nowe pomysły, o których mi opowiadał, nie wszystkie całkiem trafne, ale fizyka do końca go pasjonowała, była jego życiem. Rozumiem to teraz, gdy myślę z lękiem, co będę robić, gdy już nie będę mogła pracować.

Po latach ma się tendencje do idealizacji. Może moja rodzina nie była do końca taka idealna, była zwariowana i beztroska, ale najważniejszego mnie nauczyła: przede wszystkim liczy się człowiek.

Izabela Gorczyca

WSPOMINA BRATANEK RYSZARD

Parę słów o moim stryju Romanie Teisseyre

Brat mojego ojca był mi znany od wczesnego dzieciństwa. Często bywałem z rodzicami w Warszawie, gdzie Roman mieszkał z rodziną. Bywał On też we Wrocławiu rozśmieszając nas wszystkich ciętymi dowcipami i anegdotami. Z dobrego humoru to był On od dawna znany. Jego wstawki, komentarze i przygadówki zawsze były na inteligentnym poziomie, tak jak i praca oraz twórczość naukowa.

Znane też było zamiłowanie Stryja do turystyki i sportu, szczególnie narciarstwa. Mój tato, a jego brat, też zapalony narciarz, zabierał mnie, już jako małego chłopca, w góry i ostro do nart sposobili. I tak to wiele razy były okazje do wspólnych szusowań na różnych stokach naszych wspaniałych gór, najczęściej w Karkonoszach, bo naturalnie z Wrocławia to najbliżej. Razu pewnego – jak sobie przypominam – Stryj zorganizował wyjazd z Warszawy do Szklarskiej Poręby zabierając mego ojca i mnie, ucznia liceum na ten czas. Był to kwiecień i nadzwyczajnie ciepło. Zatrzymaliśmy się w Szklarskiej i Hala Szrenicka była naszą areną.

Wtedy wydarzyła się zabawna przygoda. Po wielu godzinach zjazdów postanowiliśmy wrócić do miasta. I tu Romek wpadł na pomysł – po co schodzić piechotą, zjedziemy przez las z boku hali. Tak zrobiliśmy do momentu, aż drogę przeciął wartki strumień. Stryj niewiele myśląc zdjął narty i podciągając nogawki spodni wkroczył do wody. Ojciec zrobił to samo, a ja próbowałem skakać po skałkach z nartami pod pachą, co było dosyć trudne. Romek był już na brzegu i dowcipnie sumował nasze wysiłki. Założyliśmy narty i powoli dalej przez las. A tu nagle druga odnoga strumienia przecina nam drogę, jeszcze szersza i głębsza. Stryj nadal dowcipkuje, tato warczy. Znow przeprawa i Roman wpada w dziurę mocząc się do pasa ku uciesze i prowokując komentarze brata. Teraz narty na ramię i idziemy pieszo, a tu znow zagradza drogę woda. Widać, że strumień rozdziela się na równoległe odnogi i tak dzieje się jeszcze trzy razy!! Bracia zaczynają niecenzuralne uwagi i przy piątej odnodze postanawiamy iść wzdłuż, bo nie mieliśmy już ochoty na kolejne moczenie. I tak po 15. minutach marszu dochodzimy do mostku (!) – miejsca, gdzie odnogi się schodzą w jeden nurt!!! Wystarczyło więc, pójść na początku 200 m wzdłuż wody i ... nie przytoczę tu komentarza Pana Profesora. Jeszcze godzinka marszu i byliśmy u celu. A Stryj i tak twierdził, że pomysł miał odkrywczy.

A tak w ogóle, to Stryj Roman był bardzo czułym, ciepłym, choć czasem ostrym, mentorem i profesorem, lubianym przez pracowników i kochanym przez rodzinę i mnie.

Ryszard Teisseyre

Received 19 July 2023

Accepted 28 November 2023